Nr. 8. We Lwowie dnia 24. lutego 1901. Rok 9

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

O Krzyżakach.

Przez

Marję Konopnicką.

4)

Już to się „nosi górnie“, już za pan brat z wojakami i ziemianami „sytne piwo“ pije, już się „królewskiemi mieszczanami zwie“, a w rzeczy są to prawe Niemce. Jeden się nazywa „Gamroth“, a drugi się nazywa „Eiertnetter“, a insi też nie lepiej pewno. Słyszy taki o różnych światowych sprawach, to zaraz to do Niemców ciągnie, głową kręci i woła: „Niemcy — dobrzy rycerze“. A choć polskiej mowy, jako z dawna osiadły, zażywa, gdy się czem zdumieje, krzyczy! „Christ“, jako i owe łyki z Tynieckiej gospody. A czas jest taki, że właśnie na takich „Eiertnetterach“ i „Gamrothach“ stoi przemysł kraju. Ci to są bowiem sławni sukiennicy i „falbierze“, krakowscy, którzy, może z Augsburga przyciągnąwszy do Polski, już się tu w warsztaty i w kramy fundują; już swoje „Mercatorium“, już swój „Dringhaus“ w Krakowie mają. I ci są, niemniej sławni piwowary, którzy w ogromnych piwnicach pod Ratuszem rej wodzą i koło „Schrotamtu“ całe góry beczek zataczają. Jakoż i w Tynieckiej gospodzie Niemiec gospodarzem siedzi, i mile patrzy na „sowizdrzałów“, pokazujących szlachcie i kmieciom różne niemieckie sztuki. A jako razem ze złotem i władza, i powaga urzędu chodzi, niejeden Niemiec ławnikiem w Ratuszu siedzi, a „mistrzem“, pełniącym katowską powinność na krakowskim Rynku, też jest Niemiec. Ba! Samo owo opactwo tynieckie, które pod sobą sto wsi trzyma, tać to najżyźniejsza grzęda, na której, w samem sercu kraju, buja wszelaka niemieckość, i wpływ Zachodu się pleni. Bo już tu Polska nie jest dawną Polską. Już jednolitą masę narodowego żywiołu przygrzało bystrzejsze słońce dziejowego rozwoju, i już się masa owa rozpękła na odrębne, wyraźną linją oddzielone od siebie stany, a w rozpukliny owe, już wszczepił się i zakorzenił pierwiastek cudzy, silny ekonomiczną przewagą. Już i wyrabiająca się coraz potężniej władza, odrębność stanów tych przywilejami podpiera, aby się sama na nich oprzeć mogła. Już więc nie tylko mieszczaństwem „królewskiem“ się nazywa, iż władza do niego, jak do skarbca sięga; ale i szlachta i rycerstwo z rąk króla opatrzenia patrzy, i opatrzenie to istotnie bierze już to w przywileju, już w ziemi.

Ale jeżeli przywilej wzmaga znaczenie szlachty, jako stanu, ziemia mało kogo bogaci. Bo choć jest zagon, rąk na nim do pracy niema. Bogactwem ziemi jest dopiero chłop, osadzony na roli. Ale o chłopa takiego łatwo nie było. Królewscy kmiecie na własnych gruntach siedzą, a luźny osadnik trudny jest do utrzymania w owych niespokojnych czasach.

Myśli, przemyśliwa stary Maćko, zkąd takiego osadnika weźmie. A choć w kalecie złota ma dość na to, żeby Bogdaniec, puszczony Opatowi zastawem wykupić, trapi się, iż Opat, chłopów osadzonych przez siebie na zastawie owym, jako istotne bogactwo ziemi tej zabierze.

A tu już widać prawie ciągnące te czasy, kiedy owe ręce pracowite, żylaste, mocne, ręce nie na swojem orzące, przykute zostaną prawem do ziemi tak, żeby jej porzucić nie mogły. Teraz porzucają. Teraz osadnik, gdy mu zbyt ciężko, pod panem, albo gdy łuna niesnasek zbyt blisko w oczy mu zaświeci, ucieka z budy swej w bory. Co na tem traci? Prawie że nic nie traci. Głodu i chłodu zaznał nieraz i *bez boru*, a zyskuje bezpieczną uchronę. Uciekali chłopi w bory gęsto w owe czasy; i za niszczącej kraj walki Grzymalitów z Nałęczami, i później także. A tych, co się osiedzieli w budach, ziemianie odmawiali sobie wzajem, bez zbytecznego skrupułu.

Po „źrebiu“ dobrej ziemi im dam — rozmyśla chytrze Maćko o Wilkowych chłopach z Borowej i nagle nabiera otuchy. Ale było jedno jeszcze źródło dla zdobycia rąk do pracy około roli. Tem źródłem był ów „mąt na kresach“, pra-

wie że nie ustający, w którym ,można było jeńca a choćby tylko „tatarskich koniuchów—natroczyć“.— Boga mi! — mówi Maćko, szykując sprzęt wojenny. — Żeby tak choć z pięćdziesiąt chłopa nabrać. Możnaby godny szmat puszczy wytrzebić, i przyczynić ziemi“... „Przyczynić ziemi“, to jakby przyczynić życia. Nie dla siebie przyczynić, lecz dla — rodu.

Bo co nas w tych ludziach uderza, to silne uczucie rodowości. Uczucie to zasila się u samego pnia życia, u samej podstawy życia; a źródłem jego jest powszechne, blizkie, bezpośrednie czucie żywotności i mocy ziemi, która rody płodzi. Jestto jak gdyby pierwszy obrót kapitału tej żywotności i mocy na rzecz społeczeństwa, pierwszy związek, i pierwszy sojusz z nią, jako z ojczyzną. W tem wszakże silnem uczuciu rodowości jest coś więcej jeszcze. Bo ród, u tych budowników jutra, sam sobie celem w zasadzie — nie jest. Mogli tacy Grzymalici i tacy Nałęczowie wtrącić kraj w odmęt wojny domowej, stanąwszy przeciw sobie, jako wrogie, nic po za nienawiścią swoją nie widzące rody. Mogli to uczynić i inni jeszcze. Zawsze jednak był to wyjątek haniebny i krwawy. Na ogół wszakże biorąc, jak od własnej wygody, od własnego użycia i wczasu, umiano się odnosić do pomyślności nie narodzonych jeszcze pokoleń i pracować na nią; tak samo od pomyślności rodów umiano się odnosić chociażby przeczuciem tylko do szczęścia i wielkości ojczyzny, dla której rody te żyć i kwitnąć miały.

Było to więc, jak gdyby zabiegliwe gromadzenie materjału na gmach wspólnego życia i wspólnego szczęścia. Gromadzene jednostronne niezawodnie, i w jednostronności tej wybujałe, bezładne, ale nie ciasne i nie egoistyczne, bo oparte o pojęcie owej dziejowej chwili, iż *naród* na rodach stoi.

Było to tak, jak gdyby wielu pracowników, niezwiązanych żadnym architektonicznym planem, żadnym stylem i porządkiem, wznosiło luzem wiele pojedynczych kolumn, bacząc tylko na to, aby każda kolumna stała mocno, i wysoko szła i aby sklepienie, którego jasna, lub mniej jasna wizja powszechną przecież była, oprzeć się na niej i bezpiecznie spocząć mogło.

I wznosiły się kolumny krzepkie, śmigłe, wprost z trzonu ziemi rosnące, bardzo nierówne wszakże, bardzo różnolitej wielkości i mocy. A pracownicy ciągle jeszcze wznosili oczy ku jasnej wizji sklepienia. I rosły kolumny coraz wyżej, i coraz więcej miejsca zabierały co silniejsze, tłumiąc inne. I urosły tak, że sklepienie, które się na nich wsparło, przebiły i strzeliły — w słońce. — A wtedy przypadł wichr mocny i uderzył w nie, i zatrząsł niemi i padły. A sklepienie gmachu też padło, nie mając, na czemby się oprzeć mogło. A stało się to wtedy, kiedy pracownicy utracili z oczu moc i bezpieczeństwo sklepienia, wzbiwszy wzrok upojony za śmigłością kolumn.

Ale teraz ten czas nie przyszedł jeszcze. Teraz była jeszcze pogoda, była praca i nadzieja, było widzenie i czucie przyszłości.

(C. d. n.)

Bądź błogosławioną!

Najświętsza z świętych, bądź błogosławioną!
Choć trony twoje nie lśnią blaskiem złota,
ani w purpury owinięte zwoje...
Choć drogocenne pióropuszów kity
nie sterczą dumnie nad twojem wezgłowiem —
jednak królową ty jesteś i panią,
co niezwalczone wdziała na się zbroje —
Błogosławioną bądź!
Twoich ołtarzy
kadzideł szare nie słonią obłoki,
ani kwiat martwy, bezwonny nie plami
i nie w marmurze ciężkim twój majestat
wykuł swe linje...
I nie płoną
na nich bezduszne sztywnych świec szeregi,
niby gromnice nad umarłą głową,
co legła cicho na gzła fałdy szare,
by się nie dźwignąć więcej...
Bądź błogosławioną!
Inne płomyki żarzą się w twym chramie,
który nie kamień wziął na podwalinę
i nie kamieniem wystrzelił w obłoki,
lecz jest tak wielki, jako świat szeroki,
a na krzyk duszy, wołającej —
„ginę!“
otwiera jasne roztęczone wrota
i na omdlałą lejąc blask przedziwny,
napełnia szczęściem jej czarę żywota.
Gdy dusza szeptem zapyta:
„Kto ona,
owa najświętsza i błogosławiona,
pani świątnicy, kędy żywe zdroje
płyną wśród lilji i róż wonnych krzewów?“
Nie echo murów zbłąkane w kolumnach
odpowie z jękiem odbitym od stropów,
ale poszumy odpowiedzą łanów,
co się kołyszą pod tchnieniem promieni,
migocąc blaskiem droższym po nad złoto. —
Szepną strumienie, dzwoniąc srebrną pianą
o granitowe, zębate wyłomy
gór podobłocznych...
Powie gorejąca

gwiazda słoneczna, co leje z błękitów
światło i ciepło na drżące od chłodu
a obnażone nędzy dłonią chudą
ciało człowiecze...

* * *

Powiedzą, że ona,
owa najświętsza i błogosławiona,
to ta, co w ramiona
tuli płaczące, smutne dzieci ziemi.
To ta, co wieczną jest i wszechpotężną.
To ta, z której łona
wykwita róża stulistna, różowa,
kryjąca w pąku wonie boskiej mocy...
To ta, co czyni widomy cud życia,
Ta, co króluje nad władzą przemocy.
Prócz niej wszystko — minie
i wszystko padnie.

Rozum przepiękną czaszę świadomości
wysączy całą i zobaczy na dnie
swoich tryumfów tamę nieprzepartą,
zobaczy koniec.
Przeczytaną kartą
będą dlań życia i świata obroty.
Gdy wszystko pozna i wszystko zrozumie,
stanie jak posąg
i w martwej zadumie
stać będzie wieki...

Wszystko przeminie!
bóg obali boga,
w gruzy się zwalą odwieczne świątynie,
li tylko ona,
przejasna, święta i błogosławiona,
przetrwa do końca, póki nić gorącą
słońce snuć będzie z swej cudnej kądzieli.
Li tylko ona...

O ty, miłości, bądź błogosławiona!

Z. Poznańska.

Przykry wieczór.

Kiedy Henio powrócił do domu, wszyscy siedzieli już przy kolacji. W pokoju panowała cisza. Sędzia był zamyślony, chmurny, jakby zagniewany. Matka i córki widocznie unikały jego wzroku, a narzeczony młodszej siostry, który już z natury był dość melancholijny, tego wieczoru wpatrywał się przed siebie z takim głębokim smutkiem w oczach, jak gdyby nazajutrz o brzasku miał sobie życie odebrać. Narzeczonego starszej siostry nie było wcale. W dodatku lampa paliła się ciemno, a z kuchni zalatywał swąd samowara. Henio wnet przeczuł, że podczas gdy on bawił się wesoło w towarzystwie przyjaciół, tu w domu musiało zajść „coś“; jakiego rodzaju było to „coś“ — nie wiedział i na razie nieobchodziło go to, wyciągnął tylko praktyczny wniosek, że należy jaknajmniej zwracać na siebie uwagi. Po cichu zajął swe miejsce przy stole i szeptem zwrócił się do siostry:

— Jadziu, nalej mi herbaty.

A dojrzawszy w oczach pana Kazimierza, jej narzeczonego, szyderczy uśmiech, dał mu błagalny znak głową.

To znaczyło:

— Wielka rzecz, żem się upił, przecież i ty nie raz byłeś pijany. Po co odrazu zwracać uwagę.

Potem próbował zawiązać rozmowę.

— Olesia niema?

Nikt mu nic nie odpowiedział. Matka patrzyła na niego przerażona. Henio był blady, jak śmierć, spocony, włosy poprzylepiały mu się do czoła i do skroni, oczy miał podsiniałe. Czuć było od niego silnie alkohol. Siostry przyglądały mu się z oburzeniem. Henio naturalnie nie mógł wiedzieć, że to „coś“, które zakłóciło na cały wieczór pogodę domową, zrodziło się z rozmowy o nim—Heniu. Ale, wskutek wrodzonego umysłom ludzkim prawa tak zwanej apercepcji, mógł to przeczuwać. Spochmurniał i umilkł.

A było tak rzeczywiście. Ojciec tego dnia nie przyszedł do domu na obiad i powrócił dopiero poźno nad wieczorem. Od kucharki, która wiedziała zawsze wszystko, co się w miasteczku dzieje wiedziano już, że był u Migdała, w handlu win i delikatesów, w mniejszym pokoju, razem z budowniczym miejskim, rejentem, lekarzem powiatowym i poborcą. Gdy powrócił odrazu natarł na żonę.

— Gdzie Henio? Że też tego chłopaka nigdy w domu niema. Kiedyż on się do tego egzaminu, przygotuje!

Sędzina próbowała uspokoić męża.

— Ależ uczył się dzisiaj przez całe rano... Przecież nie można chłopca w domu więzić... wakacje... Nie ma takiego zdrowia.

Sędzia roześmiał się gorzko.

— Zdrowia nie ma... Za wszystkiemi służącemi po całym mieście biega... wstyd mi przed ludźmi. — I znów wpadł w gniew;

— A jak nie zda egzaminu, nie - pozwolę drugi rok w klasie siedzieć... jak Boga kocham, nie pozwolę... Do szewca oddam, toż to idjotą trzeba być, żeby się paru głupich greckich słów nie módz nauczyć!...

Sędzina umilkła. Ale sędzia, rozgoryczony, nie mógł się uspokoić. Przypominał żonie po kolei wszystko, co niestosownego w życiu uczyniła, cofając się myślą wstecz, aż do jej panieńskich, a jego kawalerskich czasów.

— W zeszłym roku ten wyjazd do Warszawy, to także było potrzebne... Zachciało się pannom i jazda... odrazu jazda... Ma się rozumieć... szkoda, że do Australji nie chciały pojechać... Pojechałabyś z niemi do Australji... Jakże tu może być ład w domu, kiedy każdy rządzi.

Wreszcie podano kolację.

Sędzia spojrzał na opróżnione miejsce narzeczonego starszej siostry, roześmiał się ironicznie, a potem zwrócił się do pana Kazimierza.

— Dużo pan dzisiaj namalował?

— Niewiele.

— Żeby pan tak dom sobie wymalował, to byłbym przynajmniej spokojny, że będziecie mieli z Jadzią gdzie mieszkać.

Pan Kazimierz zagryzł usta, poczerwieniał i nic nie odpowiedział. Ale i sędzia już umilkł. Utkwił oczy w talerzu i siedział nieruchomy, pracując tylko rękami i szczękami.

Kiedy Henio przyszedł, podniósł na niego oczy, otarł usta, jakby szykując się do przemówienia, lecz po krótszym, niż mgnienie oka namyśle, machnął beznadziejnie ręką i opuścił głowę. Henio pijąc herbatę, rozmyślał nad tem, co mogło spowodować to przeklęte, tajemnicze „coś". Mrużył silnie oczy, sądząc, że zdejmie z nich tym sposobem senną mgłę, mówić nie chciał, żeby go głos nie zdradził i uśmiechał się tylko kolejno do matki, do sióstr i do narzeczonego, wyczekując życzliwej odpowiedzi, ale wszyscy patrzyli na niego, jak na zbója pod pręgierzem i to utrwaliło go w przykrem przekonaniu, że jednak on, a nie kto inny, był właściwym bohaterem wieczoru.

Spuścił oczy i w milczeniu pił herbatę. Aż nagle otworzyły się drzwi od kuchni i weszła Nastka. Młodsza Nastka miała około dwudziestu dwóch lat, bardzo jasne włosy, białe zęby, figlarne oczy i była bardzo kształtnie zbudowana.

Gdy weszła, Henio poczerwieniał i jeszcze bardziej spuścił głowę.

Nastka ułożyła na kredensie sprawunki, które z miasta przyniosła i w milczeniu skierowała się ku kuchni. Ale już przy drzwiach zatrzymała się jeszcze i nagle wybuchnęła dość głośnym śmiechem. Ten szczery wybuch wesołości tak się nie dostrajał do przykrego tonu wieczoru, że wszyscy naraz spojrzeli na nią zadziwieni, aż przelęknieni.

— Czegoż ty się śmiejesz? — zapytała sędzina, dość ostrym tonem, ale w głębi duszy rada, że oto zaszło coś weselszego na tle wieczoru.

— A bo panicz Henio był dzisiaj taki dziwny — mówiła Nastka, krztusząc się od śmiechu. Biegał po całym mieście, nie wiem za kim. Byłam u mydlarza, widziałam go przed oknem, potem poszłam po te gwoździki i znowu go widziałam... wciąż biegał... A jakem szła koło ogrodu, zatrzymał mię i mówił coś o jakiejś gwieździe... nie wiem dobrze...

— No dobrze, dobrze, idź już, idź! — rozkazywała spiesznie sędzina.

Nastka wyszła, lecz już było zapóźno.

Sędzia odsunął herbatę i podniósł się od stołu: — Heniek!...

— Co... proszę... ojca — zaczął Henio, blednąc, bo czuł, że nie może zatamować czkawki.

— Pijany jesteś! — krzyknął ojciec. — Jutro pomówimy. Dobranoc państwu. Już wy to umiecie osłodzić życie.

Odszedł od stołu. Od drzwi wrócił się jeszcze, podał rękę narzeczonemu i nie patrząc na nikogo, udał się do swego pokoju.

Wszyscy odetchnęli lżej, nawet Henio.

— Bój się Boga chłopcze... Co ty wyprawiasz — zaczęła matka... Jakżeż możesz tak wracać do domu, przecież jesteś zupełnie pijany. Ojciec gniewa się na mnie, że się nic nie uczysz, ale cóż ja pocznę... Jak nie zdasz tego egzaminu, odbierze cię z gimnazjum... I cóż będziesz robił, jak nie skończysz?

Henio przyrzekł matce, że egzamin zda, przyznał się, że się upił po południu w karczmie za miastem, razem z oficjalistą z poczty i synem rejenta i bardzo smutny poszedł spać.

Opowiadania Nastki nie poruszano w tej rozmowie.

Gdy się Henio oddalił, wesołość powróciła do tego domu, skąd złe zrządzenie losu na cały wieczór ją wygnało. Pan Kazimierz rozbawił siostry dowcipami, a wreszcie i matkę udało mu się rozchmurzyć.

Wytłómaczył jej, że nawet taki uczeń piątej klasy, który się podczas wakacji raz upije i przedwcześnie zaczepia służące — o tem mówiono urywkowo, gdy panien w pokoju nie było — może być jeszcze porządnym człowiekiem, że zresztą źródło szczęścia nie leży w zdanej lub nie zdanej maturze, ale w duszy ludzkiej.

— Bo życie jest takim młynem, który przerabia złote kłosy ideałów na szarą mąkę powszedniego chleba — zakończył.

Tem porównaniem tak wzruszył matkę i córki, a zwłaszcza pannę Jadzię, że oszołomione — zapomniały już o przykrym wieczorze i o Heniu. Poszli we czworo do ogrodu. Była prześliczna noc, księżyc świecił... Dwunasta biła już na kościelnym zegarze, a oni spacerowali jeszcze po cienistych, pełnych woni, kwiatowych alejach.

Pan Kazimierz i panna Jadzia pomyśleli coś razem i gwiazda spadła... Malarz odszedł do domu, jakby w zachwyceniu. Puste i uśpione ulice miasteczka, osrebrzone księżycowem światłem, nasunęły mu myśl do obrazu.

Henio spał tymczasem niespokojnym snem. Nazajutrz zerwał się dość wcześnie i nie skarżył się nikomu na ból głowy, lecz odrazu po herbacie usiadł nad gramatyką grecką.

Ojciec na obiad nie przyszedł. Po obiedzie Henio znów zabrał się do nauki. Wreszcie koło trzeciej sędzia wszedł do jego pokoju.

— Cóż ty robisz? — zapytał dość opryskliwie.

— Uczę się...—mruknął Henio cicho.

— Wystarczy, jak się będziesz rankami uczył, byle starannie... A już, jak ci się tak na pilność zebrało, to możesz iść przecież do ogrodu.

Henio ucałował ojca w rękę i poszedł.

A sędzia, przypominając sobie wczorajszy śmiech Nastki i domyślając się różnych rzeczy, których Nastka nie opowiedziała, uśmiechnął się pod wąsem nawpół wesoło, nawpół melancholijnie.

Włodzimierz Perzyński.

6)

ALOJZY JIRASEK.

CHODOWIE.

Obraz historyczny.

XX.

Na dni kilka przed uwięzieniem adwokata Błażeja Tunkla w Pradze, Hanka wyszła w jasne popołudnie za obejście, do sadu, aby się obejrzeć za pstrą kwoczką, która lubiła wodzić tędy stadko kurcząt do rosnącego w pobliżu, bujnego żyta. Mała Hanusia, która towarzyszyła matce, zajęła się natychmiast zbieraniem kwiatów, a wzrok młodej gosposi, rozglądającej się dookoła, pobiegł bezwiednie w stronę miasta i ześliznął się wnet na gościniec, który prowadził stamtąd ku cichej ich wiosce.

Teraz biało nakrapiana kurka, mogłaby była śmiało przesunąć się, choćby koło samych nóg gazdziny, prowadząc młode w żyto najgęściejsze. Hanka nie ją miała na myśli — o Hanusi nawet zapomniała tak zupełnie, jak gdyby dziecka na świecie nie było.

Widok drogi, wiodącej do miasta, zbudził w niej myśli, które pochłonęły ją całą. Jan miał tędy wrócić. Gdyby to się stało dziś, gdyby tak nagle ukazał się tam między zbożem! A mogłoby się to stać. Tydzień już minął, już drugi dobiega końca, a przecież odjeżdżając powiedział, że do czternastu dni najdalej będzie w domu. Oczy Hanki błysnęły, a twarz okryła się rumieńcem radości na samą myśl. O gdyby wrócił, gdyby już tu był! Tak smutno, tak pusto bez niego! Nieobecność jego wszystkim i wszędzie daje się uczuwać. Ona i dzieci tęsknią za nim, gospodarstwo potrzebuje jego ręki... Czy jednak wróci?... Matka i sąsiedzi, — starzy, doświadczeni sąsiedzi, upewniają, że wróci, że w Pradze nikt nie ma prawa go zatrzymać.

Hanka, zapatrzona na drogę i pogrążona w myślach, nie zwracała uwagi na hałas, który się wszczął kędyś po za domami, gdy nagle do sadu wpadła dziewka, przerażona, bez tchu, wołając gospodyni, aby poszła zobaczyć, co się dzieje. Jakoż zaledwie weszły na podwórze, zobaczyły ludzi, spieszących ze wszystkich stron, na plac przed wójtowstwo, gdzie już się znajdowały żywo rozprawiające gromadki. Wpierw, nim Hanka zdążyła zapytać, co się stało, matka Jana wysunęła się z wdowiej swej chaty, a jednocześnie wpadł na podwórze jakiś wyrostek, spocony, zjajany, kurzem okryty. Obie poznały w nim natychmiast pasterza z Drażenowa, od wójta Krzysztofa Hrubego. On, zobaczywszy gospodynię, zaczął opowiadać głosem urywanym, nie mogąc tchu złapać, że właśnie dziś popołudniu przyjechali niespodzianie do Drażenowa panowie z Kęt.

Sąsiedzi, rozmawiający na placu, widząc obcego chłopaka, zapełnili wnet podwórze Kozinów, chcąc się dowiedzieć, co zaszło nowego.

Wyrostek opowiadał tymczasem dalej, że to był rządca z Kęt wraz z burgrabią, którym towarzyszyli strzelcy i gajowi, uzbrojeni w strzelby i inną broń. Niespodziani ci goście wyważyli w chacie Hrubego drzwi, które były zamknięte, i przetrzęśli cały dom, przewracając wszystko dnem do góry.

— Hale czegoż chcieli? — spytała matka Jana.

— Jakiegoś pisania — z Wiednia, czy jako — nie wiem... — bąkał chłopak.

— I naleźli?...

— Wzięni cosi, padają...

— A kany poszli?

— Nie wiem... ino gazdzina mówili, że przyjdą haw ku wam...

— Już tu są! — ozwał się parobczak z gromadki, stojącej u wrót. — Na własne oczy widziałech... Dwaj byli konno...

— A kanyż bedą?

— U Syki.

— Ha, łotry! — zawołała matka Jana.

— O mamo, toć i ku nam przyjdą — mówiła niespokojnie Hanka.

— Niech ta!... Pisania! — Boga mi! tamtego pewnikiem pisania — oburzała się dalej stara Chodka. — Dyć mądrze se poczynają! Przezpiecznie idą ku nam, kie naszych chłopów niema doma... I to ów Kosz, co Jana o mało nie zamordował pod lipą... Nuże, ludzie dobrzy, nie bójcie się napastników, nie dajcie się im! Toćby się nadmiar rozzuchwalili, a my i chwili spokoju nigda bychmy nie mieli... Niechta uwidzą, jako i my nie owce. Brońcie się, chłopcy, nie dajcie się!

Wtem głos jakiś męzki zawołał:

— Z Drażenowa idą ku nam! Haw! — Bywajcie haw! — i wołający czynił ręką znaki w kierunku sporej gromadki górali, którzy szli naprzód żwawym krokiem. Teraz, słysząc okrzyki, przystanęli, — ci zaś, co znajdowali się na podwórzu Koziny, pogarnęli się ku nim, i w ten sposób utworzył się niespodzianie liczny zastęp Chodów.

— Kanyż są te łotry! — pytali Drażenowianie, a płonące twarze, zaiskrzone oczy mówiły, że zaledwie mogą hamować gniew, który nimi władnie. I jęli wnet opowiadać, o czem słuchacze wiedzieli już od pasterza: o napaści sług pańskich na dom Hrubego i zagrabieniu papierów, które im były potrzebne.

— Gazdzina powiadają, że było cosi przez sześć listów od tego hadwokata z Wiednia, od Justa, a także i od naszych, którzy byli w tę porę we Wiedniu.

— Naczy wysłańcy stają w Pradze przed sądem — wołał inny w rozdrażnieniu najwyższem — a Lomikar potrzebuje tego pisania przeciw nim, na szkodę naszą... Rozumiecie? Temu też idziemy, aby je odebrać!

— U Syków... — zaczął było ktoś, gdy nagle ze wszystkich stron zerwały się okrzyki:

— Macieju! Macieju!... Przybku!...

Olbrzymi Chod ukazał się rzeczywiście między domami i kroczył poważnie ku zgromadzonym na drodze, wedle zabudowań Koziny, u skraju wioski niemal.

— Słyszałeś-li? — zapytywali go znajomi z własnej wsi i z Drażenowa.

— Hej. Chycili wam pisanie, a teraz dokazują w domu Syki. I czegóż chcecie?

— Chcemy onych papierów. Nie poniechamy ich! wołali mężczyźni.

Po surowej i chmurnej twarzy Przybka prześliznął się promień radości.

— Hej, — tegom się też spodziewał. Taniec się pocznie... Niewiasty i dzieci na bok! — krzyknął rozkazującym głosem. — Chłopcy, do domu, po ciupagi i kije, a żwawo!

Ci z domowych mężczyzn i młodzianków, którzy z gołemi rękami wybiegli byli z chat, rzucili się wnet po broń i wrócili z nią w mgnieniu oka. Drażenowianie wszyscy byli uzbrojeni w ciupagi.

Hanka poskoczyła ku domowi z Hanusią, aby odszukać Pawełka i być razem z nim. Ale stara matka nie ruszyła się od wrót...

Rządca Kosz, który i tu szukał listów Sztrausa, Justa i członków pierwszej deputacji wiedeńskiej, chociaż ze skutkiem mniej pomyślnym, niż w Drażenowie, — dziwił się nie pomału ciszy, która zaległa obejście wójta Syki. W pierwszej chwili, gdy przyjechał, ludzie zlecieli się tam rojem pszczelnym, a teraz wychodząc, nie widział nikogo, prócz wystraszonych gazdzin i dziewcząt. Uważając misję swoją za skończoną, on i burgrabia dosiedli wierzchowców i puścili się z powrotem do Kęt. Pięciu strzelców z długiemi strzelbami szło przed nimi, inni — wraz z gajowymi — kroczyli po bokach i z tyłu. Listy, zagrabione tu i w Drażenowie, Kosz ukrył starannie pod ciemno-szafirowym kubrakiem.

Dokoła nich żaden głos ani dźwięk nie przerywał ciszy, ale tam, poniżej, na skraju wsi, w kierunku miasta, do którego zmierzali, dawał się słyszeć głuchy pomruk.

— Byle jeno ci górale nie napadli nas po drodze — zrobił uwagę burgrabia, zwracając się do rządcy. Ale ów ironicznie się uśmiechnął.

— Sądzę, że nie będą takimi warjatami. Wszak wiedzą, jak smakuje drobna kulka ze strzelby...

Wtem groźny okrzyk wstrząsnął powietrzem. Jeździcy osadzili koni, strzelcy stanęli, jak wryci.

Przed nimi, na drodze, stał liczny zastęp Chodów z Ujazdu i Drażenowa, zbrojny w ciupagi i kije, a na czele tego zastępu rysowała się olbrzymia postać Macieja Przybka.

Na prawo i lewo, między domami, migało też sporo ciupag, których okucia błyskały w promieniach słońca.

Czeladź dworska znalazła się nagle wobec nieprzyjaciela, groźnego liczbą i namiętnem uniesieniem. Dziki wrzask, którym powitali Kosza i jego drużynę, nie przeraził jednak starego wojaka.

— Czego chcecie, ludzie? — zawołał. — Puśćcie nas!

— Papiery! Pisanie! Ha, złodzieje! — górowały okrzyki nad tłumem, który wściekłą wrzawą zahuczał w odpowiedzi na jego rozkaz. To też rządca zrozumiał wnet, że pozwolą mu przejechać w takim tylko razie, jeżeli odda listy. A tego uczynić nie mógł. Żywo miał w pamięci rozkaz Lammingera, aby papiery owe przesłać do Wiednia natychmiast i za jakąbądź cenę.

— Ognia! — zakomenderował na cały głos, zwracając się ku strzelcom, a sam dobył szabli. Nim jednak ludzie jego zdążyli podnieść strzelby do wysokości twarzy, Maciej Przybek, a za nim Chodowie, wpadli na nich, jak burza. Rozległ się strzał, jeden — jedyny, pierwszy i ostatni... Kosz widział rój ludzkich postaci, który się rzucił na jego drużynę. Chciał się bronić, przerznąć, ale w tej chwili właśnie Przybek i kilku innych górali rzuciło się na burgrabiego i obaliło go z konia. Wtedy Kosz, nie widząc innego wyjścia, zawrócił nagle wierzchowca, śpiął go z całej siły ostrogami i puścił się z powrotem ku wiosce, tratując powalonych strzelców i Chodów...

Tłumacz. *M. Wysłouchowa.*

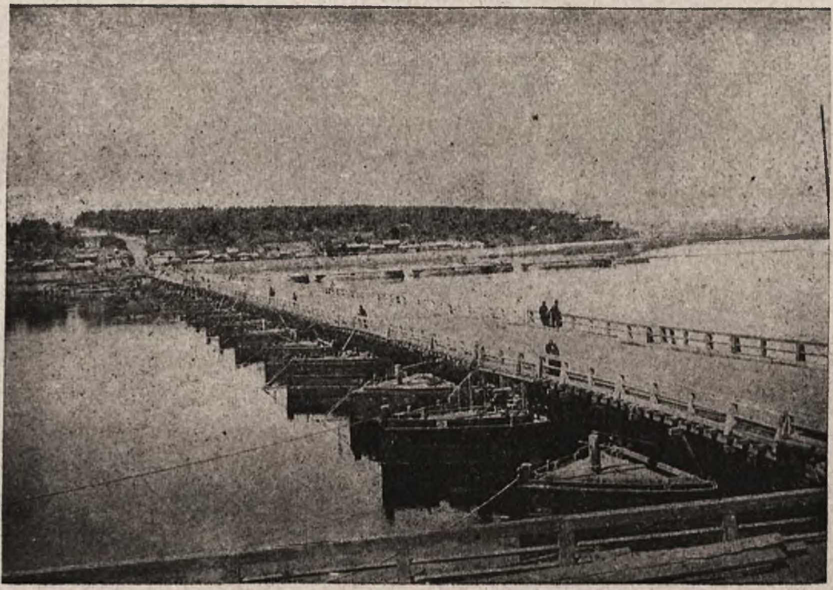
(C. d. n.).

Z Syberji i Kamczatki

przez dra Benedykta Dybowskiego.

(Ciąg dalszy).

Rzeka Angara należy do systemu wód, któremu nadają nazwę nieco przydługą, bo mienią go „Sielenga-Bajkał-Angara-Jenisej“. Długość razem wziętych rzek wymienionych, wespoł z szerokością jeziora Bajkału, mierzona ukośnie, wynosi około 5504 kilometrów. I tak długość Sielengi, licząc od jej źródeł w Mongolji, powyżej jeziora Kossogoła do ujścia w Bajkale, równa się 1370 klm. odległość tego miejsca w pobliżu Posolska, od wypływu Angary z Bajkału, u wsi Listwiennicznej, zwanej przez ludność miejscową portem Bajkalskim (Gawań), wynosi w przybliżeniu 106 kl., następnie długość Angary dolnej, do połączenia się jej z Jenisejem, mierzy 1908 kl. zaś odległość tego miejsca od wybrzeży oceanu wynosi 2120 kl. Angara, w ten sposób rozpatrywana, łącznie z jej początkiem Sielengą i jej przedłużeniem Jeniesiejem, jest jedną z najpotężniejszych rzek starego świata, bo śmiało iść może w zawody z Nilem, którego długość wynosić ma około 5500 kl., następnie jest ona dłuższą od Irtysza z Obią (4.982) kl., od Jang-tse-kjanga (4.452kl.) od Amuru (4.240 kl.) od Leny (5.000 klm.) Teren zlewu tego olbrzymiego systemu wód ma się równać 300000000 hektarom. Odnośnie do pochyłości płaszczyzny, po której spływają wody systemu rzeczonego, to dadzą o niej przybliżone chociażby tylko pojęcie cyfry następujące: wysokość wzniesienia powierzchni lądu u źródeł Sielengi ma się równać 1575 M., czyli że ma ona wynosić prawie tyle, co głębokość Bajkału; poziom wód jeziora wzniesiony jest na 300 M. po nad powierzchnią morza, czyli o 100 m. mniej niż góra zamkowa, zaś poziom Angary u jej ujścia do Jeniesieja wynosić ma zaledwie 104 m. po nad horyzontem oceanu. Już z tych kilku wymienionych dat, przekonać się możemy, że uregulowanie koryta rzeki, nie może stanowić wielkich trudności i że one ostatecznie z czasem pokonane być powinny. Do systemu wód Bajkału należą dwie Angary: górna i dolna, pierwsza wpada do jeziora w północnej jego części. O tej ostatniej powiadają, że ma to być śliczna, górska, wielka rzeka, odznaczająca się obfitością ryb i pysznymi, malowniczymi widokami.



Most pontonowy, łączący Irkuck z przedmieściem Głazkowskiem.

Druga Angara wypływa z jeziora u południowo-zachodniego brzegu. Dziwnem zrządzeniem losu, jak to słusznie zauważył Łapczyński, nazwa olbrzymiej rzeki stała się dwukrotnie niesprawiedliwą, gdyż Sielengę, a nie Angarę górną uważać należy za początek jedynego wypływu z Bajkału, który byłby powinien nosić z tej racji miano Sielengi, a nie Angary. W dalszym znowu przebiegu, Angara jest w tem miejscu, gdzie się łączy z Jenisejem, daleko większą od niego, pomimo to jednak ustępuje mu swej nazwy. Taka niesprawiedliwość w dziedzinie nazw geograficznych jest niewłaściwą. Mongołowie i Mandżurowie starają się takiej niesprawiedliwości zaradzić w ten sposób, że nadają rzece w różnych miejscach jej przebiegu, głownie zaś tam, gdzie ona wbiera dopływ znaczniejszy, inne coraz miano. Tak np. rzeka Ingoda, łącząc się z Ononem dostaje nazwę Szyłki, ta ostatnia, od miejsca swego połączenia z Arguniem, nosi nazwę Amuru itd. Każda tedy rzeka, podług systemu rzeczonego Mongołów, zmienia koleją swe miano w miarę jak wbiera coraz to nowe, znaczniejsze dopływy. Rosjanie i w ogóle Europejczycy takiego porządku rzeczy nie znoszą, bo uznanie prawa indywidualności dla części danej rzeki, nie zgadza się ze składem myśli, właściwym obecnym mieszkańcom Europy, który się wytworzył głównie pod naciskiem tendencji unifikacyjnej, państwowej, i przedpaństwowej, czynnych w ciągu całego szeregu lat życia społecznego. Właściwość taka, albo, jak ją mienią, zaleta, uwidoczniona już w tym drobnym fakcie, odczuwa się wszędzie, tak dobrze, w życiu państwowem, jak społecznem i stanowi różnicę zasadniczą pomiędzy kulturami ludów rzeczonych. Tym różnicom poświęcę słów

kilka, gdy mowa będzie o Burjatach, teraz zaś wróćmy do Angary i Bajkału.

Trzy wielkie rzeki, mianowicie Angara górna, Barguzin i Sielenga, wraz z 200 rzekami i rzeczkami mniejszemi i tysiącem strumieni, wlewają swe wody do Bajkału, wypływa zeń natomiast tylko jedna rzeka — Angara dolna, ta ostatnia pozornie nie jest większą od każdej z rzek głównych, a jednak uskutecznia pracę, która dorównywa pracy wszystkich razem wziętych rzek, rzeczek i strumieni, wyżej wymienionych. Ażeby podołać takiemu zadaniu, Angara pracuje rok cały bez ustanku, równomiernie, z szybkością niezwykłą i już na wiosnę unosi nadmiar wody, zbierającej się w ciągu lata w Bajkale, tak, że w początku maja poziom wody w jeziorze opada do minimum rocznego, poczem powoli, lecz stale wznosi się, i to trwa aż do końca sierpnia, lub początku września; w tej porze poziom wody jeziora dosięga swego maximum. Różnica pomiędzy stanem najwyższym, wody Bajkału a najniższym wynosi w ciągu roku przeciętnie 87 cm. albo nawet 1 m.; cyfrę pierwszą obliczyliśmy na podstawie obserwacji, czynionych w przeciągu lat czterech, drugą zaś cyfrę zawdzięczamy obserwacjom późniejszym, dokonanym przez Wł. Księżopolskiego.

W latach wyjątkowo dżdżystych różnica pomiędzy poziomem maximum i minimum dochodzi do 164 cm.

Gdybyśmy na powierzchnię Galicji całej, wynoszącej 78.500 km. kw. wyleli masę wód, zbierających się co roku na obszarze Bajkału, mającym 35.000 km. kw., pokrylibyśmy ją warstwą wody, wynoszącą blisko pół metra; to porównanie daje nam możność ocenienia, chociażby w przybliżeniu tylko, ilości wody, unoszonej przez Angarę dolną.

(C. d. n.)

Z pism i książek.

„Lud“, organ towarzystwa ludoznawczego we Lwowie. Redaktor Dr. Antoni Kalina. Tom VII. zeszyt 1. (Lwów, 1901) str. 1 — 112.

Na czele wymienionego zeszytu znajdujemy dokończenie ciekawej rozprawy Jana Witorta p. t. *Filozofia pierwotna* (Animizm). Wielce podnosi wartość rozprawy tej wcielenie do niej materjałów, zebranych przez polskich badaczy, tak wśród ludu naszego, jak i u obcych (np. Sieroszewski o Jakutach).

Dr. Franciszek Krczek podaje drugą setkę *Przyczynków do drugiego wydania „Księgi przysłów“ Samuela Adalberga.* Do pracy swej autor korzystał w pierwszym rzędzie z wydawnictw Akademiji Umiejętności w Krakowie: „Biblioteki pisarzy polskich“ i „Sprawozdań komisji językowej“ (t. IV—V).

Bronisław Gustawicz podaje drugą część swej pracy *O ludzie Podduklańskim w ogólności, a Iwoniczanach w szczególności,* zawierającą: zabawy, pieśni i gadki.

Bardzo ciekawą jest źródłowo napisana rozprawa Stanisława Ciszewskiego *O atałykacie,* poświęcona pamięci nieodżałowanego Stosława Łaguny. Wyraz atałykat jako termin wyprowadził do socjologji uczony rosyjski M. Kowalewskij; służy on do oznaczenia instytucji społecznej, szeroko rozpowszechnionej dotąd na Kaukazie, a polegającej na tem, iż ojciec, wkrótce po urodzeniu się dziecka, wyszukaje dlań *atałyka,* t. j. przybranego ojca, któremu powierza dziecko na wychowanie. Autor wymienionej rozprawy twierdzi, iż atałykat, jako instytucja społeczna, istniał i u nas jeszcze w wieku XIII. O polskiej nazwie tej instytucji nic nie wiemy, znamy tylko łacińskie: *nutritor i paedagogus.* Konsekwencje, wypływające z tego zwyczaju, odgrywają znaczną rolę w stosunkach rodzinnych, częstokroć bowiem wychowaniec kocha więcej atałyka, niż rodzonego ojca, którego przez długi szereg lat wcale nawet nie widywał.

Z kraju Huculów (gadki i przysłowia) Józefa Schrajdera i *Polacy na Węgrzech,* studjum etnograficzno-statystyczno-historyczne Maksymiljana Gumplowicza — są dalszymi ciągami rozpraw, zamieszczonych w ostatnich zeszytach „Ludu“ z roku zeszłego. W niniejszym zeszycie M. Gumplowicz omawia „Stolicę Liptowską“ i „Stolicę Spiską“. Nadmienić tu wypada, iż całkiem niepotrzebnie „Lud“ używa pisowni Spisz zam. Spiż, idąc zapewne za dowodzeniami dra St. Eljasza Radzikowskiego (patrz. „Lud“ t. III. str. 258 i t. V. str. 305), iż należy pisać dlatego Spisz, że po łacinie brzmi *Scepusia.* Ależ właśnie wypada pisać Spiż dla tego samego powodu, jak: Pary*ż* — łac. *Parisia,* any*ż* — łac. *anissum,* lub że „dawniej“ pisano u nas Spisz. Kiedy dawniej? Pisaliśmy przecie „dawniej“: gdysz (gdyż), yalmoszna (jałmużna) etc. Dość skonstatować fakt etymologji ludowej, t. j. wpływ wyrazu „Spiż“ i nie sprzeciwiać się utartej od dawna pisowni Spiż.

Dr. Michał Żmigrodzki zdał sprawę obszernie z *Kongresu folklorystów w Paryżu 1900 roku,* w którym sam brał czynny udział. Oprócz referenta, z Polaków brali w nim udział Bugiel i Sieroszewski, znany autor pięknej i wielce cennej pracy o „Jakutach“. Nominalnie należeli jeszcze do kongresu Jan Karłowicz i Plauruska Wanda.

W rubryce „Rozmaitości“ znajdujemy notatki Alf. Parczewskiego o *Badaniu kresów polskich,* St. Ciszewskiego o *Grobie królowej polskiej na cmentarzu żydowskim w Pradze Czeskiej* i Jana Jakóbca *Przyczynki do rozmowy z głuchym* (teksty ludowe). W dalszym ciągu zamieszczono recenzję „Wisły“ (t. X—XIII) Sew. Udzieli i obszerne sprawozdanie z pięciu tomów „Prac Filologicznych“ — Henryka Ułaszyna. Kończą zeszyt „Sprawy Towarzystwa.

Nadmienić tu jeszcze wypada o doniesieniu zarządu towarzystwa ludoznawczego — a mianowicie, iż w miejsce drugiego zeszytu „Ludu“ w r. b. rozesłany będzie bezpłatnie „Podręcznik ludoznawstwa (folkloru) — dzieło cennej wartości o 12 arkuszach druku.

Henr. Ul.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego, Lwów ul. Kopernika 5.